



Ministerstwo
Obrony Narodowej

ROZNIKA WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

POLSKA 4 BROJNA

Warszawa, 1 sierpnia 2025

Dziś

**Narodowy Dzień
Pamięci Powstania
Warszawskiego**

– polskie święto państwowe
obchodzone corocznie 1 sierpnia,
poświęcone upamiętnieniu boha-
terskiego zrywu żołnierzy Polski
Podziemnej i ludności stolicy.



Warszawa
44

Rys. Piotr Korczyński

Rys. Piotr Korczyński



Wybiła godzina **W**

Żołnierze Armii Krajowej, którzy przeżyli w Warszawie grozę hitlerowskiej okupacji – bezprzykładne okrucieństwo i terror Niemców – wspominają 1 sierpnia 1944 roku jako jedną z najpiękniejszych chwil w swoim życiu. Godzina „W” oznaczała dla nich wolność oraz możliwość wzięcia odwetu za lata upokorzeń, strachu i śmierci.

Piotr Korczyński

Warszawa w lipcu 1944 roku przypominała beczkę prochu. Przez miasto przetaczały się uciekające przed Sowietami oddziały Wehrmachtu. Mieszkańcy stolicy z satysfakcją obserwowali wozy z rannymi i wlokących się za nimi, często bez broni, żołnierzy niemieckich. Wśród Niemców mieszkających w Warszawie wybuchła panika – nawet gestapowcy dołączali do wycofujących się wojsk... A u warszawskich żołnierzy Armii Krajowej i innych orga-

nizacji konspiracyjnych wręcz odwrotnie – narastała chęć walki i odwetu. Ich dowództwa coraz bardziej czuły presję i pojawiło się zagrożenie, że „konspiracyjne doły”, nie czekając na rozkaz, same ruszą do rozprawy z okupantem. Zresztą również wielu wyższych oficerów poddawało się tej gorączce.

Nie zauważali też, że pod koniec lipca dowództwo niemieckie w Warszawie zdołało opanować panikę. Hitler i jego przybocznicy, zdając sobie sprawę, że po klęskach ich armii Wisła jest ostatnią wielką naturalną przeszkodą przed granicami III Rzeszy, nakazali bronić bezwzględnie polskiej stolicy i zmienić

ją w twierdzę, bez oglądania się na życie jej mieszkańców i bez względu na zniszczenia. Pod Warszawę ruszyły doborowe niemieckie dywizje pancerne i starły się w tytanicznym boju z nacierającymi korpusami pancernymi Armii Czerwonej. Po warszawskich ulicach krążyły pogłoski o sowieckich czołwarkach pancernych na przedmieściach!

Nim padły strzały

Pułkownik Antoni Chruściel „Monter”, dowódca Okręgu Warszawa AK, należał do tych oficerów, którzy poddali się atmosferze ostatnich dni lipca 1944 roku. Kiedy więc 29 lipca dotarł do nie-

go meldunek, że rosyjskie szpice pancerne wjechały na Targówek, ogarnęło go podniecenie. To oznaczało, że lada chwila Warszawę mogą zająć Sowieci! Nie sprawdzając tej informacji – która później okazała się nieprawdziwa – ocenił, że pojawiła się niepowtarzalna okazja do zajęcia stolicy Polski przez siły Armii Krajowej, nim to uczynią „sojusznicy naszych sojuszników ze wschodu”. Na decydującej o ogłoszeniu powstania odprawie 31 sierpnia „Monter” zażądał od komendanta głównego AK, gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”, rozkazu do natychmiastowego rozpoczęcia walki. Zdecydowanie w tym żądaniu poparł go zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych, gen. Leopold Okulicki „Kobra”, który podkreślał, że w mieście walki właściwie nie będzie, tylko „dobicie rozgromionego już i zdezorientowanego przeciwnika”.

Generał Komorowski się wahał. Wiedział z depesz przesyłanych z Zachodu, jak i od specjalnego emisariusza Jana Nowaka (Jan Nowak-Jeziorański), że ze strony sojuszników nie może liczyć na zbytnią pomoc, jeśli powstanie by się przedłużyło. Na konferencji Połączonego Komitetu Szefów Sztabów wojsk sprzymierzonych, 7 lipca 1944 roku sprawę postawiono jasno: „Wielka Brytania i Stany Zjednoczone nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za przygotowanie zbrojnego powstania Armii Krajowej i za przyszłe jej działania, ponieważ terytorium Polski nie znajduje się w ich – to jest Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych – zasięgu i kompetencji strategicznej”. Innymi słowy – aliansi dawali wyraźnie do zrozumienia, że Polska jest w strefie operacyjnej Armii Czerwonej, a co to oznacza, Polacy przekonywali się już od kilku miesięcy na Kresach...

Mimo to gen. Komorowski 27 lipca wysłał prośbę o wsparcie lotnicze Warszawy na wypadek wybuchu powstania. Prosił o zrzuconie w okolice miasta polskiej i Samodzielnej Brygady Spadochronowej (do tego celu szkolonej), zbombardowanie lotnisk niemieckich i skierowanie polskich dywizjonów myśliwskich po uprzednim zdobyciu przez powstańców lotnisk Luftwaffe. Ponadto prosił o dostawę broni i zaopatrzenia oraz o nadanie akowcom praw kombatanckich. Jak wiadomo, aliansi odrzucili większość tych postulatów. Prawa kombatanckie przyznano AK dopiero pod koniec powstania, a zrzucone broni i zaopatrzenia – wobec blokady przez Sowietów swoich lotnisk – okazały się dalece niewystarczające.

Komendant główny rozważał jeszcze jeden fakt, że do wybuchu powstania w Warszawie nawoływali sami Sowieci. 29 lipca Radio Moskwa nadało po polsku komunikat: „Walcicie przeciwko Niemcom! Warszawa słyszy już bez wątpienia huk armat bitwy, która wkrótce przyniesie jej wyzwolenie. Ci, którzy nigdy nie ugięli się przed hitlerowską przemocą, przyłączą się znowu, tak jak w roku 1939, do walki przeciwko Niemcom, tym razem do działania decydującego. Dla Warszawy, która nigdy się nie poddała i nigdy nie ustała w walce, godzina czynu wybiła!”. Następnego dnia podobny komunikat nadała radiostacja Związku Patriotów Polskich im. Tadeusza Kościuszki. Dziś wiadomo, że były to sowieckie prowokacje, ale wówczas gen. Komorowski i jego sztab mogli się obawiać,

że jeśli nie dadzą rozkazu do wybuchu powstania, to po zajęciu Warszawy Sowietci powtórzą oskarżenia, że „AK stoi jedynie z bronią u nogi i nie chce walczyć z Niemcami”, no i rzecz najważniejsza – stracą niepowtarzalną okazję zamianifestowania przed całym światem, że Polacy chcą sami decydować o własnym losie. To się nie udało podczas akcji „Burza” na Kresach, ale przecież Zachód nie może pozostawać obojętny, kiedy białoczerwone sztandary zawisną na ulicach i budynkach Warszawy! Czy Stalin odważy się wtedy siłą stłumić dążenia narodowe Polaków?...

Wybiła godzina walki

Te kalkulacje i nadzieje wzięły górę u wahającego się „Bora” i komendant główny AK przychylił się do postulatów „Montera” i „Kobry”. Generał Komorowski wydał płk. Chruścielowi ustny rozkaz o rozpoczęciu w Warszawie akcji „Burza” następnego dnia, 1 sierpnia. Godzinę ataku podległych mu sił na niemiecki garnizon wyznaczył na 17.00. Nosila ona kryptonim „W”. Decyzja o wybuchu powstania zapadła w niepełnym sztabowym gremium. Już po naradzie na ulicę Pańską 67, gdzie znajdowała się kwatera „Bora”, dotarł m.in. płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki „Makary”, szef Oddziału II (wywiadu) Komendy Głównej AK. „Makary” był zdecydowanie przeciwny rozpoczynaniu powstania. Argumentował słusznie, że według jego sprawdzonych informacji niemieckie siły pancerne pod Warszawą przechodzą właśnie do kontrofensywy, a w samym mieście nie ma już śladu po niemieckiej panice. Generał Komorowski jednak swojej decyzji nie odwołał, przypieczętowując tym los stolicy Polski. Jak się miało okazać, pomylił się podwójnie – słuchając optymistycznych meldunków o stanie wojsk niemieckich i oceniając intencje Sowietów.

W chwili wybuchu powstania Okręg Warszawa AK (miasto i powiat warszawski) liczył ok. 50 tys. ludzi. Do walki z powodu krótkiego terminu mobilizacyjnego (wynosił tylko dobę) jednak stanęło w Warszawie oraz Puszczy Kampinoskiej ok. 23 tys. żołnierzy. W tym jedynie 3,5 tys. było dostatecznie uzbrojonych w różną lekką broń strzelecką, do której mieli amunicję na trzy-cztery dni walki. Na jednego słabo uzbrojonego powstańca przypadało sześciu bardzo dobrze uzbrojonych i wyposażonych żołnierzy niemieckich. Ponadto Niemcy mieli w mieście artylerię polową i przeciwlotniczą, broń pancerną i lotnictwo, a do tego umocnione pozycje i bunkry w neuralgicznych częściach miasta. Powstańcza broń przeciwpancerna była bardziej niż skromna – kilka brytyjskich granatników PIAT, granaty i butelki z mieszkanką zapalającą.

Mimo to (a trzeba jeszcze pamiętać, że Niemcy spodziewali się wybuchu powstania) gwałtowność pierwszego uderzenia powstańców zaskoczyła nieprzyjaciela. Przez pierwsze cztery dni zrywu inicjatywa należała do Polaków, którzy zdobyli wiele obiektów zajmowanych przez siły niemieckie oraz opanowali większą część Śródmieścia z Powiślem, Żoliborz, Wolę, Stare Miasto, Mokotów Dolny i część Ochoty. Między tymi rejonami bronili się Niemcy, którzy ponadto utrzymywali punkty oporu wewnątrz

dzielnicy zajętych przez powstańców. Polakom nie udało się, niestety, zająć dzielnicy niemieckiej, gmachu Sejmu, uniwersytetu czy Muzeum Narodowego i – co najistotniejsze ze względów operacyjnych – węzłów kolejowych oraz mostów na Wiśle.

Entuzjizm walki

Kiedy wreszcie padł rozkaz do godziny „W”, żołnierze Obwodu Warszawskiego AK zaskoczyli silniejszego wroga niebawym męstwem i zaciętością w boju.

Jerzy Mindziukiewicz „Jur” z Batalionu „Miotła” podkreśla: „Dziś nierzadko padają oskarżycielskie pytania: a po co żeście to powstanie wywołali, Warszawa została zniszczona, tylu ludzi zginęło? Uważam, że ten, kto nie przeżył okupacji, nie powinien na ten temat wyrażać opinii. Powtórzę jeszcze raz – przechodziliśmy straszne upokorzenia, patrzyliśmy bezsilni na egzekucje... I nagle zobaczyliśmy latem 1944 roku przejeżdżające ulicami kolumny rozbitych na wschodzie oddziałów niemieckich. To już nie byli ci elegancy i butni Niemcy, lecz obdarci, zarośnięci, poranieni maruderzy z przeżyciem w oczach... To budziło w nas normalny w tych warunkach odruch satysfakcji i przeświadczenie, że nareszcie będziemy mogli wziąć odwet. To nie my, lecz oni będą teraz stać z podniesionymi rękoma pod ścianą!”

Janusz Maksymowicz „Janosz” w sierpniu 1944 roku nie miał skończonych 14 lat, ale po godzinie „W” od razu



Dziś nierzadko padają oskarżycielskie pytania: a po co żeście to powstanie wywołali?

został bojowym żołnierzem Kompanii Szturmowej P-20, „bo do oddziału przyniosłem prawdziwy skarb – dwa pistolety! I jak większość młodych ludzi: chciałem walczyć i brać na Niemcach odwet za lata terroru, strachu i upokorzeń. Kto nie przeżył okupacji, ten nie zrozumie tego nastroju. Powstanie było po prostu nieuchronne! Dowódca kompanii por. Tadeusz Garliński »Tadeusz«, widząc moją determinację i te pistolety – polskiego Visa i niemieckiego Waltera – pozwolił, bym został bojowym żołnierzem. Trzeba pamiętać, jak słabo powstańcze oddziały były uzbrojone, więc miałem naprawdę mocną kartę przetargową. Waltera oddałem komuś innemu, a na barykadzie stanąłem do walki z Visem”.

Zygmunt Jatczak „Ryszard” z Batalionu „Miotła”, a następnie „Czata 49”,

wspominał: „Przed powstaniem przez trzy dni stawiano nas w gotowości bojowej i ją odwoływano. 1 sierpnia 1944, pamiętam, śnił wtedy deszcz, choć było ciepło, byliśmy na Hożej. Przyszedł do nas porucznik »Czarny« [Tadeusz Janicki] i powiedział: »Chłopaki, dziś nie będzie powstania, idźcie do domu«. Mama wtedy przygotowała mi obiad, było gdzieś przed godziną trzecią. Nagle przyjechał Rysiek Sitnik na rowerze i mówi: »Zygmunt, ubieraj się, powstanie!«. I tak się zaczęło, choć właściwie początek był jeszcze przed wybuchem, bo nasz oddział miał zbiórki na rogu Nowolipek i Wolności, w budynku fabryki Kamlera. Tym samym, w którym swój sztab miał komendant główny AK, gen. Tadeusz Komorowski »Bór«. Ja wtedy o tym nie wiedziałem, ale stanowiliśmy jego obstawę. I właśnie do tego budynku po 16.00 przyjechali po coś bahnschutz [straż kolejowa] i wywiązała się strzelanina. Na szczęście w godzinę »W« przyszły nam na pomoc inne oddziały i nas wsparły”.

Czesław Lewandowski „Bystry” z Plutonu Bojowego Szkoły 227 Szarych Szezegów: „W to, że Niemcy przegrają, nie wątpiliśmy ani przez chwilę, ale pewności, że ich przegrana jest już blisko, nabrał wiosną 1944 roku. Informacje z nasłuchu radiowego i konspiracyjna prasa mówiły o coraz liczniejszych klęskach armii Hitlera zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Młodzież rwała się do walki, Warszawa dosłownie zmieniała się w beczkę prochu. 28 lipca moja drużyna otrzymała rozkaz zgrupowania się w szkole przy ulicy Czarnieckiego na Żoliborzu. Zebrało się ponad 100 osób – z plecakami lub torbami wypełnionymi zapasami na kilka dni. Zakazano nam wychodzić na zewnątrz. Upchnięci w klasach liczyliśmy minuty do tego upragnionego rozkazu rozpoczęcia walki. Po dobie jednak ten rozkaz odwołano. Około południa 1 sierpnia ponownie otrzymaliśmy rozkaz stawienia się na punkt zborny o 17.00. Niestety, czasu było tak niewiele, że nie wszyscy zdążyli przybyć na tę godzinę, która okazała się godziną »W«”.

I na koniec świadectwo Krystyny Budnickiej (Heny Kuczer), która cudem ocalała z powstania w getcie warszawskim i doczekała 1 sierpnia 1944 roku: „Wreszcie mogłam poczuć się naprawdę wolna. Nienaznaczona. Myśmy wtedy mieszkaly z bratową u państwa Budnickich na ulicy Dobrej, na Powiślu. Pamiętam ten entuzjizm, białoczerwone flagi w oknach domów i nadzieję, że zaraz nadejdzie wyzwolenie. Niestety, nie nadeszło. Za to 6 września na Powiśle przyszli Niemcy i przepędzili ludność cywilną przez płonącą stolicę na Wolę, pod kościół św. Wojciecha. Tutaj była selekcja, kto do Pruszkowa, kto na roboty, a kto do Auschwitz lub od razu pod ścianę... Nasz opiekun, pan Budnicki, zauważył wówczas zakonnicę – szarytki prowadzącą sieroty z domu dziecka. Przekonany, że sam trafi do obozu, poprosił jedną z sióstr, by mnie przyjęła. Zgodziła się i tak z grupą dzieci wyszłam z Warszawy do obozu w Pruszkowie. Przyjęłam nazwisko mojego opiekuna, a Krysią nazywano mnie już wcześniej”.

Na podstawie artykułu „Wybiła godzina »W«” opublikowanego na łamach Portalu Polska Zbrojna 1 sierpnia 2022.

POWSTANIE WARSZAWSKIE WSPÓLDECYDOWAŁO O POWROCIE POLSKI NA MAPĘ EUROPY

Powstanie Warszawskie wpisało się na trwałe w historię narodu i państwa, pozostawiając jednocześnie w pamięci i umysłach Polaków uczucie dumy, jak i niespełnionych nadziei. Od 1944 roku kolejne pokolenia Polaków rokrocznie 1 sierpnia przeżywają wielkość tego wydarzenia, a także ogrom poświęcenia i ofiar mieszkańców stolicy. Nigdy w dziejach wojen i powstań narodowych nie było tyle bohaterstwa, męstwa w walce, ale i tak wielkich strat biologicznych i materialnych poniesionych w ciągu tak krótkiego czasu – 63 dni.

Powstanie było najbardziej spektakularnym polskim zrywem narodowym nie tylko w II wojnie światowej. Mimo że zakończyło się militarną i polityczną klęską, okupioną śmiercią co najmniej 180 tys. ludzi i kompletnym zniszczeniem stolicy, determinacja i bohaterstwo jego uczestników oraz ludności cywilnej Warszawy dały narodowi polskiemu moralną siłę na kolejne dziesięciolecia. Wielka ofiara krwi i cierpienia była też tym argumentem, który niewątpliwie współdecydował o powrocie Polski na mapę Europy między Odrą a Bugiem.

Dzisiejsza rocznica skłania do tego, aby z historii wyciągać wnioski. Niech zatem nam – współczesnym – towarzyszy przesłanie i przekonanie, że trzy rzeczy są najlepszą gwarancją bezpieczeństwa państwa polskiego: silna i nowoczesna armia, silne i pewne sojusze oraz silne i świadome społeczeństwo. O te priorytety konsekwentnie i z determinacją zabiegam jako Minister Obrony Narodowej.

W Powstaniu Warszawskim walczyły Armia Krajowa, Narodowe Siły Zbrojne, Armia Ludowa i inne pomniejsze formacje oraz dziesiątki tysięcy młodych ludzi bez przygotowania wojskowego. W stolicy siedzibę miała Komenda Główna Batalionów Chłopskich i jej oddział ochrony. Komenda Główna BCH wydawała prasę konspiracyjną i w porozumieniu z Komendą Główną AK przekazywała żywność mieszkańcom. Ludowcy z okolic podwarszawskich, nie mogąc zbrojnie pomóc walczącym, jako pierwsi wystąpili z inicjatywą zorganizowania pomocy materialnej dla stolicy. Wień po upadku powstania wsparła 500 tys. wysiedlonych z Warszawy. Całe wioski solidaryzowały się z powstańcami, podziwiali ich męstwo i starały się różnymi sposobami nieść pomoc.

Z szacunkiem chylę czoło przed wszystkimi Bohaterami Powstania Warszawskiego. Jesteście symbolem niezłomnej determinacji Polaków w dążeniu do niepodległości i wolności. Uosobieniem bezgranicznego męstwa i poświęcenia. Jesteście naszymi nauczycielami patriotyzmu.

Cześć i Chwała Powstańcom Warszawskim!

Władysław
Kosiński-
Kamysz,
Minister Obrony
Narodowej,
Wicepremier



DZIEWCZYNA ZE SZPITALA „POD KRZYWĄ LATARNIĄ”



Udzielanie pomocy rannemu powstańcowi na jednej z warszawskich ulic, sierpień 1944. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Florence Nightingale urodziła się w czasach, gdy pielęgniarstwo nie cieszyło się popularnością i trudno było powiedzieć, że to zawód. W szpitalach, przytułkach, izbach chorych pracowały zakonnice i skazani za różne przestępstwa, którym karę zamieniano na taki rodzaj – poniżającej w mniemaniu społeczeństwa – pracy.

Radostaw Wiśniewski

Młoda Brytyjka z wyższych sfer i praca w szpitalu? W XIX wieku to się w głowie nie mieściło. Nie przyjmowali tego do wiadomości także rodzice Florence, którzy dbali o jej wykształcenie. Dziewczyna twierdziła, że w wieku 17 lat usłyszała głos silniejszy od niej samej, który zdeterminował całe jej życie. Była przekonana, że przemówił do niej Bóg, który nakazał jej, by poświęciła się choremu i potrzebującemu pomocy. Sporo czasu zajęło jej przekonanie rodziny i otoczenia do jej decyzji. Zapewne nie była też wolna od wątpliwości. Tym bardziej że dziewięć lat pozostawała w narzeczeństwie, finalnie rezygnując z małżeństwa z mężczyzną, którego zdaje się kochała, bo ostatni list od niego miała zawsze przy sobie.

Powołanie i wojna

Do szkoły dla pielęgniarzek w Niemczech trafiła w 1850 roku. Na kilkumiesięczny kurs wróciła do Anglii, gdzie została przełożoną w szpitalu w Londynie. Nieustannie wiele czytała, starała się być na czasie z najnowszą wiedzą medyczną. Gdy wybuchła wojna krymska, zorganizowała grupę 38 ochotniczek i 15 zakonnic, z którymi udała się do Turcji, gdzie organizowały się wojskowe lazarety dla armii brytyjskiej. W tym czasie nadal więcej żołnierzy na wojnie ginęło z powodu chorób, ran i zakażeń niż w walce.

Florence ruszyła na swoją wojnę. Razem z ochotniczkami zaczęły dbać o sprawy najzupełniej podstawowe jak mycie rąk – tak przez personel, jak chorych i rannych. Troszczyły się o poprawę warunków sanitarnych, środki czystości, zmienianie pościeli, regularne żywienie, wietrzenie pomieszczeń... A ponieważ zdaniem Florence do wyzdrowienia potrzebna jest dbałość nie

tylko o ciało, siostry pomagały żołnierzom pisać listy do domu, a także sporo z nimi przebywały i rozmawiały. Nikt nie znał wtedy pojęcia „psychologia”, taka nauka w ogóle nie istniała. Dziś możemy jednak powiedzieć, że Nightingale łączyła odpowiednie traktowanie medyczne z odpowiednim oddziaływaniem psychologicznym.

I tak krok po kroku śmiertelność z powodu chorób zakaźnych miała spaść w szpitalach wojskowych z 40 do 2%, chociaż obecnie skala ówczesnego zwiększenia przeżywalności jest kwestionowana. Nikt natomiast nie podważa roli Nightingale w zmniejszeniu śmiertelności wśród rannych; podkreśla się również, że Florence zdobyła ogromny szacunek u brytyjskich żołnierzy.

Nazywano ją „dumą z lampą”, „aniołem z Krymu”, ponieważ miała zwyczaj chodzenia nocą po kwaterach chorych i rannych, aby sprawdzać, czy wszystko u nich w porządku. To również wówczas było nie

do pomyślenia. Noc należała bowiem do śmierci. „Dama z lampą” czuwała, by dama z kosą nie pocynała sobie zbyt śmiało.

Sztafeta poświęcenia

Florence zmarła w roku 1910, na cztery lata przed I wojną, która swym okropieństwem przyćmiła najgorsze koszmary dotychczasowych wojen, i na 14 lat przed przyjęciem na świat Danuty Słazak, córki Józefa i Agnieszki, która w czasie II wojny miała przeżyć coś, co Nightingale nie mogło się przyśnić w najgorszych koszmarach.

Można powiedzieć, że niewiele te dwie postaci łączy. Ojciec Danuty był konduktorem w miejskich tramwajach, w warszawskim domu z pięciorgiem dzieci nie przelewało się. Kiedy wybuchła II wojna, Danka miała 15 lat. Została skierowana jako telefonistka do Szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze. Po kapitulacji Warszawy pracowała w ZUS i zarazem konspirowała: była agentką kontrwywiadu, łączniczką, przeszła szkolenie wojskowe i szkolenie sanitarne. Razem z rodzicami ukrywała w domu dziewczynkę z getta, Gizelę Arterweill. Danuta załatwiła jej fałszywe dokumenty na nazwisko Stefani Szymkowiak.

Latem 1944 roku uciekła z domu, przewidując, że rodzice nie będą chcieli jej puścić do powstania, którego wybuchu oczekiwano. Została przydzielona do Plutonu 174 z Batalionu „Chrobry I”, gdzie odpowiadała za opiekę sanitarną. Na zbiórkę stawiała się z jednym granatem ręcznym.

Razem z batalionem, a ściślej z plutonem 174, w którym dowódcą jednej z drużyn był Mieczysław Gałka „Elegant”, przeszła piekło walk o Stare Miasto. 13 sierpnia została ranna w nogę w wyniku wybuchu tzw. czółgu pułapki. Na szczęście lekko. W ostatniej fazie walk cudem uniknęła śmierci w zbombardowanym 31 sierpnia 1944 roku pasażu Simonsa, pod którego gruzami zginęło wówczas nie mniej niż 120 żołnierzy ze Zgrupowania „Chrobry I”. Koledzy namawiali ją, żeby została na bezpiecznych kwaterach, ale chciała zanieść jedzenie rannym z oddziału i wyszła dosłownie na chwilę przed nalotem sztukasów.

Po nieudanej próbie deblokady Starego Miasta w nocy z 30 na 31 sierpnia stało się jasne, że jedyną drogą odwrotu, dostępną tylko zdrowym, lżej rannym i niecywilom, jest trasa kanałowa. Jak powiedziała w wywiadzie udzielonym Archiwum Historii Mówionej: „Mogłam pójść kanałami, bo chłopaki mówią: »Słuchaj, chodź z nami, przejdiesz«, pomimo że ja byłam ranna w nogę, »Przejdziemy«. Mówię: »Nie mogę, przecież tu są koledzy z mojego plutonu, z mojej drużyny i ja nie mogę«. Wie pani, oni nie mówili do mnie zostań, ale jak widziałam ich oczy, ja widziałam, przerażone oczy i... czy ja wyjdę, czy ja zostanę?”. Została.

Horror! Horror!

Tymczasem rano 2 września Niemcy zajęli Stare Miasto, nieufnie, jakby nie rozumieli, co się dzieje. Nikt nie poddawał się do niewoli. Dzień wcześniej otoczone wojsko – dosłownie – zapadło się pod ziemię. Było i nie ma. Wynurzy się w innych dzielnicach, żeby dalej walczyć. To w dziejach wojen należało do rzadkości. Wojsko, które zapadło się pod ziemię! Ale zostali ranni. Wiadomo, że ciężko rannych, którzy nie mieli szans zejść pod ziemię, było w kilku szpitalach i punktach opatrunkowych ok. 2,5 tys. Jeszcze przed upadkiem dzielnicy lekarze i pielęgniarki odbierali

rannym umundurowanie, wszelkie elementy uzbrojenia i oporządzenia, aby Niemcy nie mogli powiedzieć, że trafili na szpital wojskowy, i pod tym pretekstem nie wymordowali wszystkich. Mimo że było to dwa dni po potwierdzeniu przez aliantów, że Armia Krajowa stanowi część sił zbrojnych walczących z Niemcami i jeńców należy traktować zgodnie z przysługującymi im prawami.

Poza pojedynczymi przypadkami, początkowo nieprzyjaciół zachowywał się wobec rannych poprawnie, niekiedy nawet obiecywał pomoc, transport, leki. W powstańczych szpitalach często leżeli też ranni Niemcy, którzy głośno domagali się dobrego obchodzenia się z Polakami, podkreślając, że sami byli traktowani na równi z innymi. Jak jednak wynika z wielu relacji, po godzinie 11.00 nastąpiła diametralna zmiana nastawienia podległych Niemcom jednostek. Być może zapadła wówczas w sztabie Heinza Reinefartha albo Ericha von dem Bacha jakaś decyzja, ale nie wiemy do dzisiaj jaka. Wszędzie zaczął się powtarzać ten sam schemat: zmuszenie personelu do opuszczenia szpitala. Oprawcy dawali na to zazwyczaj kilka minut. Nieliczni lekarze, pielęgniarki, sanitariuszki wraz z rannymi, którzy byli w stanie się poruszać samodzielnie, wychodzili ze szpitali; ranni i personel, który nie chciał opuścić budynków, piwnic – byli rozstrzelani na miejscu.

Do pomieszczeń wrzucano granaty, budynki podpalano. Niemcy i służący im kolaboranci ze wschodu strzelali z broni maszynowej w otwory okienne, czasem używali miotaczy ognia. W relacjach pojawiały się te same obrazy: ranni, którzy od wielu dni nie byli w stanie się ruszać, pełzali do wyjścia, po podłogach, po schodach, po gruzach, budynki płonęły i płonęli ludzie. Młodociane sanitariuszki i pielęgniarki były wielokrotnie gwałcone, później także często mordowane. Zdarzało się to także sanitariuszkom czekającym z lżej rannymi na ulicach i podwórkach na rozkaz wymarszu w kierunku punktów etapowych. Tak działo się przy szpitalu koło kościoła św. Jacka na Nowym Mieście. Po podpaleniu szpitala ranni z pomocą pielęgniarek



Żołnierze Batalionu „Chrobry I” przed zdobytym posterunkiem żandarmerii Nordwache w kamienicy Ignacego Partowicza przy ulicy Żelaznej róg Chłódnej. Domena publiczna

i ks. Franciszka Kuleszy zostali wyniesieni wprost na ulicę Starą i tam czekali dwa dni na ewakuację wraz z czuwającymi przy nich sanitariuszkami. Sanitariuszki między 2 a 4 września były wielokrotnie gwałcone, ale trwały przy rannych. 4 września udało się etapami przenieść większość rannych do szpitala przy kościele Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu. Niemcy zabili osiem osób – sześciu mężczyzn i dwie kobiety, co wydaje się cudem przy liczności szpitala dochodzącej do 200 rannych.

Miłość wymaga ofiar

Inaczej było w szpitalu przy ulicy Podwale 25, gdzie zginęło 100 ciężko rannych, i przy Podwale 46, gdzie Niemcy zamordowali 30 ciężko rannych. W relacjach mowa o tym, że Niemcy obsypywali leżących na łóżkach i pościeliach płytkami białego fosforu. A fosfor nie daje się ugasić

niczym, pali się, dopóki się nie wypali, np. przepalając w tym czasie ludzkie ciało na wylot, do kości i dalej. Blizny, które zostawa – świecą w ciemnościach.

„Blondynka” była jedyną osobą personelu medycznego, kiedy do szpitala „Pod Krzywą Latarnią” wpadli Niemcy. Najpierw wszystkim, którzy mogli chodzić, kazali wyjść z budynku, a potem rozlali benzynę, podpalili sienniki z rannymi, obsypali ich płytkami z fosforu białego, wrzucili granaty zapalające. Ranni płonęli, próbowali zrywać opatrunki, żeby ugasić ogień, obecny ksiądz poprzez ich wrzask udzielał wszystkim rozgrzeszenia *in articulo mortis*. Z tego piekła, w potwornym zamieszaniu, sanitariuszka zdołała uratować 22 rannych.

Najpierw z płonących sal do toalety wyciągnęła Mieczysława Gałkę „Eleganta”, dowódcę drużyny z Plutonu 174, którego większość kolegów zginęła w pasażu Simonsa. Wróciła po plecak z opatrunkami i usłyszała szept przerażonego: „Siostró, nie zostawiaj nas!”. Była jedyną osobą, która trzymała się na nogach, a do jej nóg czepiali się ranni. I wracała raz, drugi, trzeci... dwudziesty... Paliły się jej włosy, tliło się ubranie. Zawaliły się stropy płonącego budynku, sprowadziła więc „Eleganta” do wyjścia na tyły szpitala na podwórze. A potem wróciła po pozostałych. Kursowała tam i z powrotem – kilkadziesiąt razy. Przeprowadziła ich przez podwórze do bramy. A następnie na ulicę Długą 3, następnie na Freta 1/3. Nie, nie już osobiście – na taką odległość nie dałaby rady przenieść tylu ciężko rannych mężczyzn. Oni pełzali po ulicy w świetle płonących wokół budynków, a ona usuwała z ich drogi gruz, szkło, zabitych. Ich szlak znaczyło czerwone pasmo krwi.

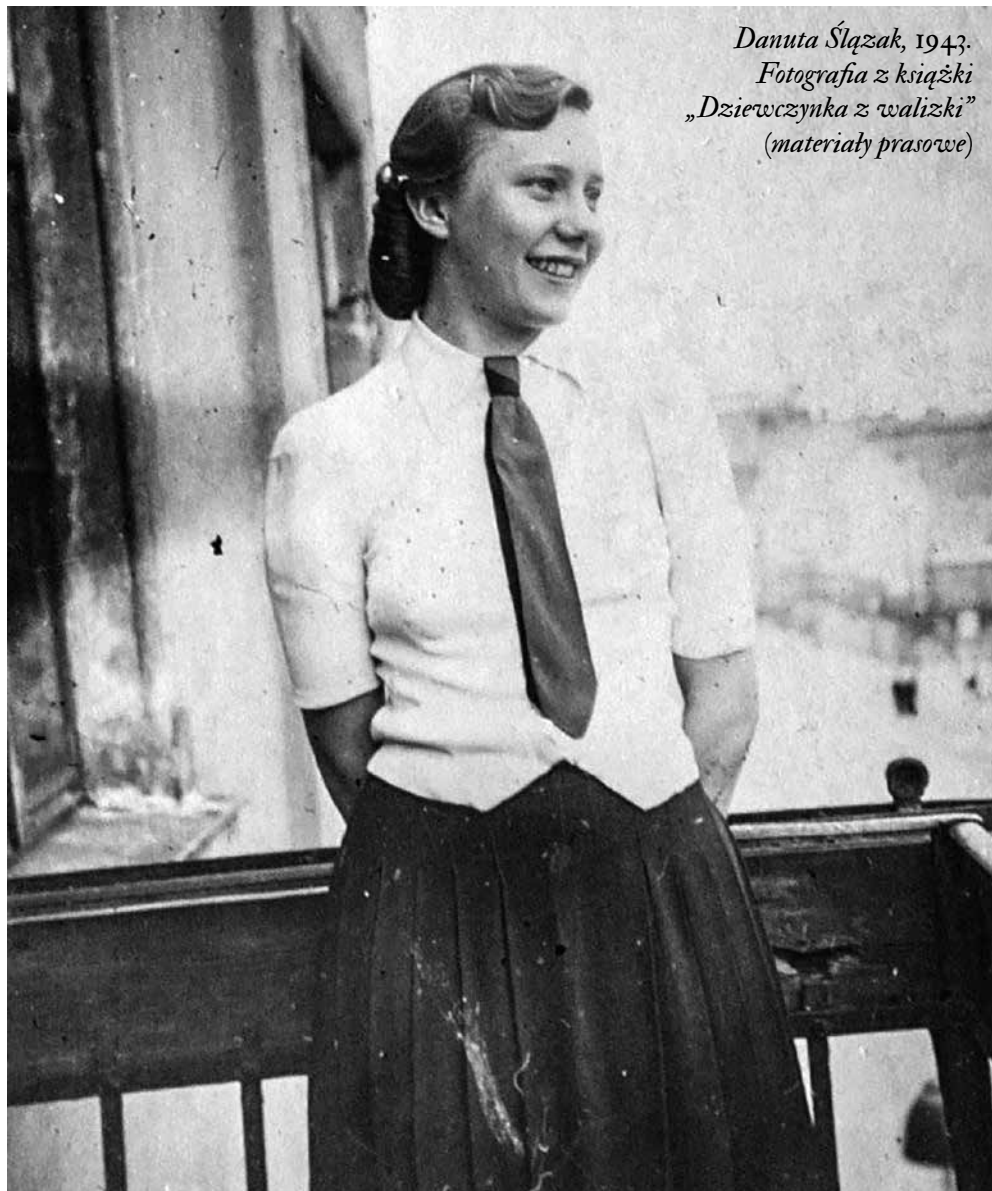
Przez kolejne dni szukała dla nich po piwnicach wody i jedzenia. Była z nimi aż do 8 października, nie mając świadomości, że 2 października powstanie skapitulowało. Zmarłych wynosiła przed wejście kamienicy, żeby ich widok i odór zniechęcały niemieckie patrole do wchodzenia do środka. Z 22 rannych, których nadludzkim wysiłkiem wyciągnęła z płonącego szpitala, do 8 października przeżyli „Elegant” i Edward Matecki „Edek”. Pozostali zmarli z chorób, krwotoków, głodu, zastrzeleni przez Niemców. Dziewięciu lub 10 rannych

wyszło któregoś dnia na wezwanie niemieckiego patrolu do opuszczania piwnic, być może chcąc zakończyć swoją gehennę wspomaganym samobójstwem. Inny ranny próbował ugotować zupę ze znalezionych płatków, został zdemaskowany i zastrzelony w piwnicy.

8 października w czasie jednej z wypraw po żywność przy ruinach kościoła św. Jacka spotkała patrol Czerwonego Krzyża. Dowiedziała się, że powstanie skapitulowało kilka dni temu. Dzięki jej uporowi dwaj ranni znaleźli się jeszcze tego samego dnia w szpitalu przy ulicy Wolskiej. „Elegant” musiał mieć od razu amputowaną nogę. Zanim poszedł na operację, zapytał ją, czy wyjdzie za niego, odpowiedziała tylko: „Jak byłem cały czas, to zostanę z tobą”. „Blondynka” dotrzymała słowa. Wzięli ślub 15 kwietnia 1945 roku i byli razem do śmierci „Eleganta” w 1975 roku.

Po wojnie Danuta Gałkowa została odznaczona m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, wyróżniona tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za ocalenie wraz z rodziną życia Gizelli Arterweil. Wreszcie w roku 2001 otrzymała najwyższe odznaczenie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, jakim można uhonorować pielęgniarkę – Medal Florence Nightingale, ustanowiony w 1912 roku, dwa lata po śmierci patronki. Danuta znalazła się w gronie 1512 odznaczonych, w tym wśród 102 Polek. Medal imienia „damy z lampą” otrzymała za swoją postawę 2 września 1944 roku w szpitalu „Pod Krzywą Latarnią”. Ten dzień wspominała jako najgorszy w życiu. Wszelkie skojarzenia prowadziły wtedy donikąd, wszystkie miary odwagi, dzielności straciły wówczas skalę. I jak sama powtarzała, na zawsze zostały z nią słowa „Siostró! Ratuj! Nie zostawiaj nas!” i krzyki rannych, płonących żywcem, gdy ona, sama poparzona, w tłącym się ubraniu, z płonącymi włosami, które gołymi rękami gasił na niej „Elegant” – próbowała wydobyć z inferno, w jakie zamienił się zasypany fosforem szpital, kolejną osobę. Raz, drugi, trzeci, siódmy, dwudziesty... ■

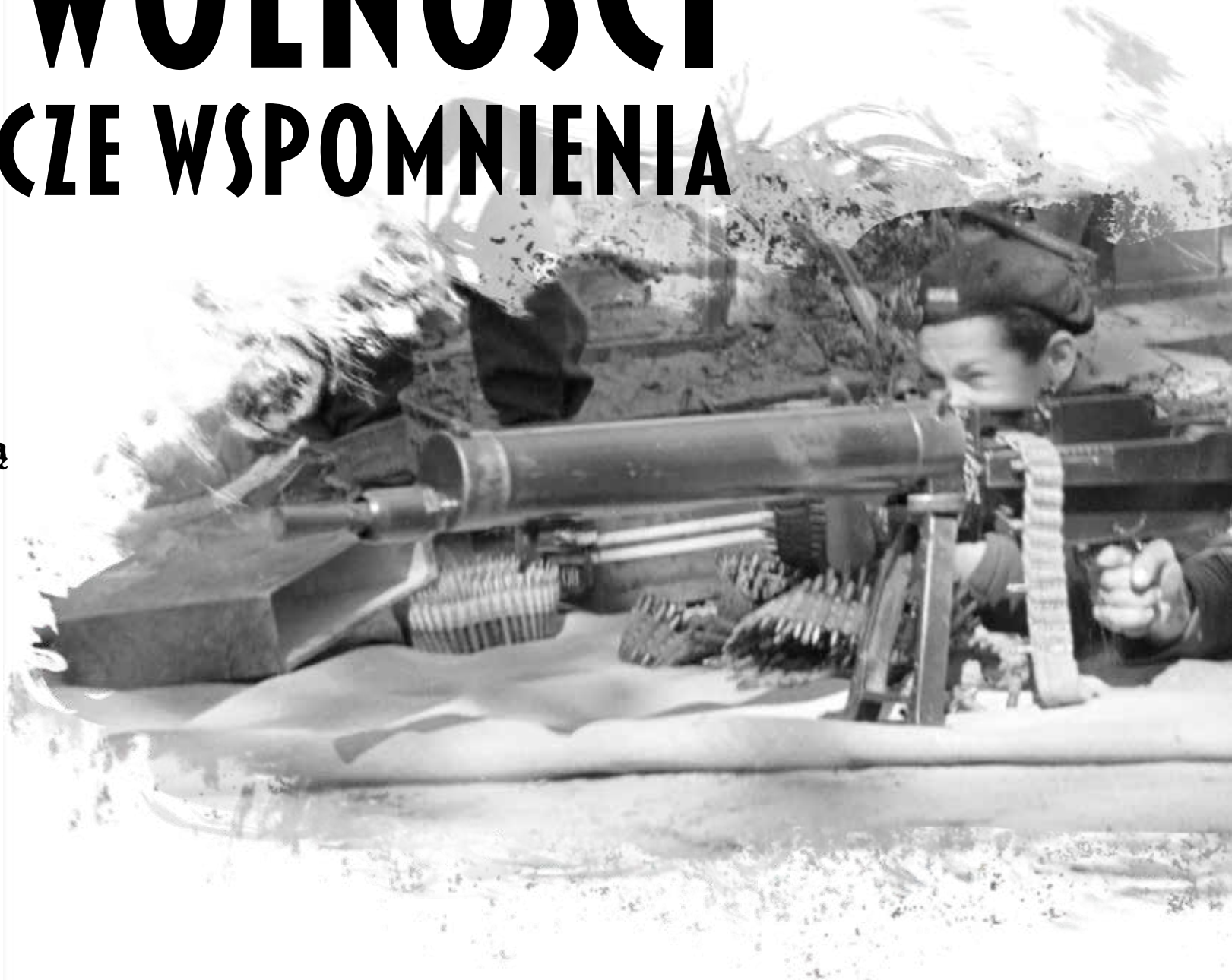
Na podstawie artykułu „Dziewczyna ze szpitala »Pod krzywą latarnią« opublikowanego w „Polsce Zbrojnej. Historii” nr 2/2025.



*Danuta Ślęzak, 1943.
Fotografia z książki
„Dziewczynka z waliszki”
(materiały prasowe)*

CENA WOLNOŚCI POWSTAŃCZE WSPOMNIENIA

W szpitalu słysza-
łem małego chłopca,
któremu pod słabym
znieczuleniem lekarz
amputował strzaskaną
dłoń: „Panie doktorze,
te trzy paluszki niech
pan obetnie, a te
dwa zostawi, to będę
mógł jeszcze pisać”...
Przeżyłem wojnę
i Opatrzność dała mi
długie życie, lecz wojny
z pamięci nie da się
wymazać...



Kalejdoskop życia i śmierci

Tak, powstanie na Pradze trwało krótko, ale jakież to był kalejdoskop życia i śmierci, emocji... Jednej dziewczynie – pamiętam tylko jej pseudonim „Żaba” – uratowałem życie. Ona była ciężko ranna, a do tego w ciąży. Kiedy pod krzyżowym ogniem niemieckiej i sowieckiej artylerii ewakuowano nasz szpital, to znaczy znoszono z piętér rannych do piwnic, zapomniano o „Żabie”. Ostrzał się wzmógł i pytam kolegi Mietka: „Gdzie „Żaba”?”. Chwylił się za głowę, że o niej zapomnieli. Pobiegłem na pierwsze piętro, patrzę, leży dziewczyna na noszach, na podłodze. Z noszami nie dałbym rady jej zabrać, więc starałem się ją wziąć na ręce – a miała przez odłamki pocisku strasznie pokiereszowane plecy i wyrwane pośladki... I kiedy próbowałem ją podnieść, w tym momencie uderzył pocisk w magazynek z medykamentami. Podmucha eksplozji spowodował, że dosłownie na plecach zjechałem z nią w dół. Miałem na grzbiecie zdartą skórę, ale dziewczynę uratowałem. Jej matka z wdzięczności podarowała mi ugotowaną skórę ze słoniny... Podzieliłem się nią z kolegami. To był rarytas, bo na Pradze panował głód – odcieło nas całkowicie przez walki Niemców z nacierającą Armią Czerwoną i Wojskiem Polskim.

Podczas tych walk jeden z pocisków artyleryjskich – nie wiadomo, czy niemiecki, czy sowiecki – uderzył w ludzi rozbierających barykadę na rogu Kowelskiej i Kowieńskiej. Masakra! Pobiegliśmy z Mietkiem ratować rannych, podnosimy z bruku chłopca, 11, może 12 lat, i jego tors został w moich rękach, a nogi

w rękach Mietka – odłamek przeciął go na pół. To było straszne przeżycie – straszniejsze od tego w czołgu pod Berlinem... Albo w szpitalu słyszałem małego chłopca, któremu pod słabym znieczuleniem lekarz amputował strzaskaną dłoń: „Panie doktorze, te trzy paluszki niech pan obetnie, a te dwa zostawi, to będę mógł jeszcze pisać”... Przeżyłem wojnę i Opatrzność dała mi długie życie, lecz wojny z pamięci nie da się wymazać...



Ppłk Henryk Kokosza „As”
(ur. 3 stycznia 1920 roku w Warszawie), przed wojną należał do Orląt Związku Strzeleckiego, starszy saper Plutonu 1662 praskiej Armii Krajowej, który brał udział w zdobyciu centrali telefonicznej – tzw. Małej PAST-y na ulicy Brzeskiej 24. Od września 1944 roku dowódca czołgu w 1 Armii WP.

Przeżyłem horror

Bandyci Dirlewangera to byli zupełni degeneraci – zamroczeni alkoholem psychopaci... Niestety, widziałem na własne oczy, jak pacyfikowali Ochotę; przez pewien czas przetrzymywano mnie na Zieleniak, gdzie panami życia i śmierci byli siepacze Kamińskiego – tam działy się rzeczy dantejskie – gwałty kobiet, morderstwa... W tym piekle byłem razem z rówieśnikiem, 14-letnim Ryśkiem. Trzymaliśmy się razem od chwili rozbicia mego oddziału i razem kombinowaliśmy, jak się z tego piekła wyrwać. Na szczęście udało nam się wejść do jednej z grup ludności cywilnej, którą Niemcy z Zieleniaka wyprowadzili do obozu przejściowego w Pruszkowie. Z tegoż obozu, choć nie był on takim horrorem jak Zieleniak, także postanowiliśmy jak najszybciej uciekać. I udało nam się znowu wejść do jednego z pociągów – okazało się, że to transport w głąb Niemiec. Bardzo długo jechaliśmy w tych bydlęcych wagonach, bo jakieś dwa tygodnie. Znaleźli się tacy, którzy próbowali uciekać przez otwór wyrwany w podłodze wagonu, lecz kiedy niemieccy konwojenci ich schwytali i rozstrzelali na miejscu, więcej prób nie było.

W końcu dojechaliśmy do Buchenwaldu i tu esesmani pozostawili wszystkich dorosłych mężczyzn, a kobiety i dzieci pojechały dalej. W ten sposób trafiliśmy do obozu w Oranienburgu, a stąd po pewnym czasie – do Brunzwiku w Dolnej Saksonii. To już był końcowy przystanek. Mieliśmy tu

z Ryśkiem dużo szczęścia wynikającego z polskiej solidarności. Kiedy więźniowie, a zwłaszcza kiedy kobiety dowiedziały się, że jesteśmy z Warszawy, zaopiekowały się nami i załatwiły nam przeniesienie do niewielkiego podobozu przy fabryce konserw, gdzie były znośne warunki. Tu doczekaliśmy w kwietniu 1945 roku wyzwolenia przez Amerykanów.



Jan Maciejowski „Gnom”
(ur. 26 czerwca 1930 w Płocku), harcerz Szarych Szeregów, w Powstaniu Warszawskim łącznik dowódcy odcinka AK „Ochota”, po wyzwoleniu z niewoli żołnierz czołówki naprawczej 2 PPanc. 1 DPanc. Po wojnie reżyser wielu głośnych i nagradzanych spektakli teatralnych.

*Nauka obsługi karabinu
maszynowego MG 08/15.
Fot. Sylwester Braun „Kris”*



Na pomoc walczącej stolicy

Niestety, zrzuć lotnicze broni i zaopatrzenia z Zachodu nie były zbyt liczne, a i z dostarczeniem wsparcia do walczącej Warszawy był problem, bo Niemcy otoczyli stolicę szczelnym kordonem. Dochodziło do licznych walk oddziałów idących z Kampinosu na pomoc walczącym powstańcom. Sytuacja w terenie stawała się coraz bardziej dramatyczna, bo i tu nieprzyjaciół zaczął organizować coraz potężniejsze i, niestety, skuteczne akcje odwetowe. Wielka tragedia dotknęła też naszą bazę. Pewnego dnia oddział partyzancki odpoczywający w majątku zaprószył ogień i doszczętnie spłonęła stodoła, w której przechowywane były broń ze zrzutów i sprzęt wojskowy. Pożar podsycany eksplozjami amunicji ściągnął tu szybko niemiecką obławę. Partyzanci zdążyli umknąć, ale Niemcy w pogorzelisku odnaleźli wypalony wrak motocykla i ślady po amunicji. Z miejsca aresztowali właściciela majątku oraz jego 18-letniego syna i rozstrzelali.

Można powiedzieć, że nasza placówka o wymownym kryptonimie „Tasak” znalazła się w oku cyklonu, bo pod koniec września, kiedy Powstanie Warszawskie chyliło się ku upadkowi, Niemcy z całą mocą rzucili się do likwidowania Zgrupowania AK „Kampinos”. Ratunkiem dla części oddziałów było przebijanie się w kierunku Gór Świętokrzyskich, a dla wielu żołnierzy powrót do konspiracji. Bardzo to było gorzkie doświadczenie połączone z goryczą po klęsce powstania. Ja znalazłem się wśród tych, którzy zeszli z powrotem do podziemia.



Eugeniusz Stefankiewicz „Jastrząb”

(ur. 27 marca 1925 roku w Żyrardowie; zm. 15 lutego 2025 roku w Łodzi), major, żołnierz ZWZ/AK w latach 1940-1945 w Podkowie Leśnej, Kedywie w Milanówku i placówce zrzutowej „Tasak” w Izdebnie Kościelnym.

Sanitariuszka z powstańczego szpitala

Początkowo służba sanitarna na tym odcinku polegała głównie na szukaniu wszędzie, gdzie się dało materiału, z którego można było sporządzić bandaż – zbierałam prześcieradła, poszewki, ręczniki. Tego trzeba było naprawdę dużo, bo brakowało wody na pranie zużytych opatrunków, więc należało ciągle przygotowywać nowe. Z każdym kolejnym wrześniowym dniem robiło się coraz trudniej, bo rannych przybywało, a lekarstw, bandaży

i innych medykamentów było – nomen omen – jak na lekarstwo. Co gorsza, zaczęło brakować nawet wody i ludzie doświadczali strasznych katuszy z pragnienia, nie mówiąc już o bólu, którego nie było czym uśmierzać. Dla mnie to były naprawdę ciężkie chwile, bo jak wytłumaczyć cierpiącym ludziom, że nie mogę im pomóc... Przede wszystkim opiekowałam się rannymi leżącymi w piwnicach w obrębie ulic Zgody, Boduena i Przeskok. W byłej kawiarni przy Boduena 4 zorganizowano duży szpital, tam też służyłam.

Dziś często się zastanawiam, że mimo iż prawie nie miałam co jeść, podstawą naszej diety był rozgotowany jęczmień ze zdobytych magazynów Haberbuscha, ja nie pamiętam uczucia głodu. Jak można było żyć bez mycia się, bez jedzenia i bez snu przez dwa miesiące? Nie dość tego – z każdej strony szalał ogień nieprzyjaciela, ciągle bombardowania i naloty... Ale przez to wszystko przebija się euforia tych pierwszych dni powstania – kiedy poczuliśmy się znowu wolnymi ludźmi – że skończył się ten straszny terror. ■



Janina Kin „Janeczka” z domu Ostrowska (ur. 1 marca 1926 roku w Warszawie), w Powstaniu Warszawskim sanitariuszka 101 kompanii Batalionu „Bończa”.

*Fragmety wywiadów z weteranami
przeprowadzonych przez Piotra Korczyńskiego,
opublikowanych w miesięczniku „Polska Zbrojna” oraz kwartalniku „Polska Zbrojna. Historia”.*

„Polska Zbrojna. Historia” najnowszy numer dostępny w wersji papierowej oraz elektronicznej

e-wydanie
już w sklepie!

sklep.polska-zbrojna.pl
prenumerata@zbrojni.pl



**POLSKA
ZBROJNA**

**HISTORIA
POLSKA
ZBROJNA**

wiww

Projekt zrealizowany pod redakcją
Piotra Korczyńskiego

Opracowanie graficzne:
Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WTW,
Dariusz Mikołajczyk

Redakcja i korekta:
Wydział Opracowania Stylistycznego WTW
Ilustracja na okładce: Piotr Korczyński

Konsultacja historyczna:
Wydział Wydawnictw Historycznych, Książkowych
i Specjalnych WTW,
dr Robert Sendek, dr Jacek Żurek

Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne sp. z o.o.
ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Dyrektor: Ewa Korsak
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa
Miesięcznik „Polska Zbrojna”
Redaktor naczelna: Magdalena Kowalska-Sendek

Portal www.polska-zbrojna.pl
Redaktor naczelna: Magdalena Miernicka
Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”
Redaktor naczelny: Piotr Korczyński

POLSKA-ZBROJNA.PL

WOJENNE EPIZODY

SCENARIUSZ I RYSUNKI: DARIUSZ S. RYGIEL

na motywach relacji Zygmunta Jarczaka

8



NIEMCY SCHWYLI MIENIE W KAPANCE. MAMA POSZŁA DO KOMENDANTA POLICJI GRANATOWEJ PULKOWNIKA RESZCZYŃSKIEGO (ON DOBRZE ZNAŁ MOJEGO OJCA, KTÓRY PRZED WOJNĄ SŁUŻYŁ W POLICJI) - OBIĘCĄ POMÓC. DWA TYGODNIE POZNIEJ, 5 MARCA 1943, PULKOWNIK ZASTRZELILI GELOWCY.



RYSZARD SITNIK, KUZYN ZNAJOMEGO Z OBOZU, WCIĄGNĄŁ MNIE DO GRUPY DYWERSYJNEJ KEDYWU KG AK, ANATOL PORUCZNIKA TADEUSZA JANICKIEGO "CZARNEGO", W KTÓREJ BYŁEM DO 1944 ROKU. OTRZYMAŁEM TAM PSEUDONIM "RYSZARD". W MARCU 1944 ROKU PRZENIESLI MNIE DO GRUPY BOJOWYCH DO BATALIONU "MIOTŁA" ABY ZNOW NIE TRAFIŁ DO OBOZU, PODJĄŁEM PRACĘ. SZWAGIER ZAŁATWIŁ MI ZATRUDNIENIE W PRZEJĘTEJ PRZECIEMNOCY POŻYDOWSKIEJ FIRMIE "AMBER" PROWADZĄCEJ TROJHENDER PRUSIEWICZ, POZNANIAK.



W LASACH W WEEKENDY POPRACY NIEDALEKO TEUSZCZA CWICZYLIŚMY STRZELANIE.

1 SIERNIA 1944 RÓZPOCZĘŁO SIĘ POWSTANIE, CHOC WŁAŚCIWIE POLZATEK BYŁ JEJSCZE PRZED WYBUCHEM, BO NASZ ODDZIAŁ MIAŁ AKURAT ZBIORCĘ NA ROGU NOWOLIPKI I WOLNOŚCI, W BUDYNKU FABRYKI KAMLERA. TYM SAMYM, W KTÓRYM SWÓJ SZTAB MIAŁ KOMENDANT GELOWNY AK, GENERAL TADEUSZ KOMOROWSKI, "BOR".



2 SIERNIA PODPADEŁEM ZAŁĘPCY DOWÓDZĄ BATALIONU, PODPORUCZNIKOWI SKOWRONSKIEMU "ANATOLOWI", KTÓRY CHCIAŁ MNIE WYRZUCIĆ Z ODDZIAŁU ZA TO, ŻE MU NIE ZASALUTOWAŁEM... OSTATECZNIE ZOSTAŁEM, ALE MIAŁEM POZNIEJ DZIWNIE ZDARZENIA, NP CZĘSTO WYSTAWIANO MNIE NA UBEZPIECZENIE, A TAKŻE "ZAPOMNIANO" O MNIE: NA "BONIFRATERSKIEJ" USTAWILI MNIE NA PIETRZE JEDNEGO Z DOMÓW PRZY MURZE, ZA KTÓRYM BYLI NIEMCY. NASI OBSTAWIALI FRONTON, A JA Z TYŁU NA BALKONIE PIERWSZEGO PIĘTRA, Z WIDOKIEM NA POLONIĘ. NIEMCY OTOCZYLI NAS, A NASI Z DOŁU ZNIKLI, ZOSTAWIAJĄC MNIE.



NIEMCY WALILI Z MIDTACZY I BRONI MASZYNOWEJ ZE WSZYSTKICH STRON.

I WŁAŚNIE DO TEGO BUDYNKU PO SZESNASTY PRZYJECHALI PO COŚ AUSTRIACCY BAHNSCHUTZE ("STRAŻ KOLEJOWA") I WYWIAZALI SIĘ STRZELANINĄ, W KTÓREJ NACHODZĄCY ZGINELI.



KOLEJNE DNI PRZYNOSIŁY ŚMIERTELNE ZNIWO W NASZYCH SZEREGACH. KAŻDA ULICA BYŁA PASEM ŚMIERCI, NA KTÓRYM GINĘLI NASI, MŁODE...

NA STARYM MIEJSCIE TRWAŁY ZACIEKŁE WALKI, TAM ZGINAŁ KOLEGA. PRZEBIŁ SIĘ ZE STAREGO MIASTA DO ŚRODMIEŚCIA, NIE POWIÓDEŁ SIĘ, NIE UDAŁ SIĘ ANI ATAK PRZECI GRUZY, ANI PROBA ATAKU PRZECI KANAŁY. WSZYSTCY BYLI ZGRUPOWANI TAM, GDZIE MIELI SIĘ PRZEBIĆ A ZA NAMI MASA CYWILÓW... KIEDY ATAK SIĘ NIE UDAŁ, WSZYSTCY MUSIELI SIĘ WYŁOFAĆ. WREŚCIE ZAPADŁA DECYZJA EWAKUACJI KANAŁAMI.



DOŁĄCZYLIŚMY DO "RADOŚCANA" I SKIEROWALIŚMY SIĘ DO GENERAŁA "BORA" NA ŚWIĘTOKRZYSKA, A STAMTAD DO RESZTEK NASZEGO ODDZIAŁU NA ALGJACH UJAZDOWSKICH I WSZYSTCY POSŁISZYLI NA CZERNIAKÓW. PO DWÓCH DNIAH NIEMCY UDERZYLI NA SZPITAL SW. KAZARZA. NASZ PLUTON POD DOWÓDZTWE PORUCZNIKA KAZIMIERZA JACKOWSKIEGO "TORPEDY" DOŚTAŁ ROZKAZ PÓJŚCIA NA ODSIECZ I WTEDY ZOSTALIŚMY ODCIĘCI. CAŁA NASZA GRUPA "CZATA" ZOSTAŁA ROZBITA.

PO WOJNIE NIE WRÓCIŁEM DO KOMUNISTYCZNEJ POLSKI, CHOCIAŻ URZĘDNIKI Z UNRA NA TERENIE NIEMIEC NAMAWIALI NAS DO TEGO. BĘDĄC PRZEKONANY ŻE MOI BLISCY NIE PRZECZYLI POWSTANIU, ODMÓWIŁEM POWROTU DO KRAJU, A KOMUNISCI ODEBRALI MI OBYWATELSTWO.

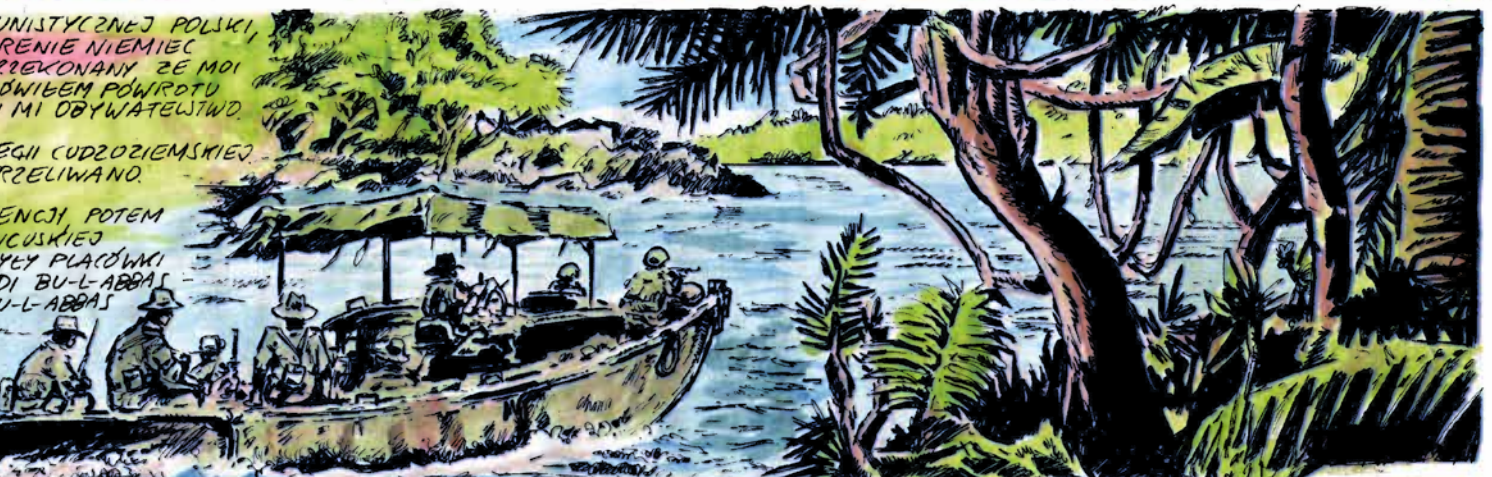
W CZERWCU 1947 WSTĄPIŁEM DO LEGII CZUDZOZIEMSKIEJ REKURTORÓW Z TATUŻEM "SS" ROZSTRZELIWANO.

MOJA SŁUŻBA ZACZĘŁA SIĘ W KOBLENCJI, POTEM PRZENIESLI NAS DO LANDAU WE FRANCUSKIEJ STREFIE OKUPACYJNEJ. NASTĘPNIE BYŁY PLACÓWKI W STRASBURGU-MARSYLII-ORANIE-SIDI BU-L-ABBAS SAIDIE. A Z SAIDU ZNOW DO SIDI BU-L-ABBAS I DO AL-MARJA AL-KABIR W ORANIE. SKŁAD POPEŁNIŁMY DO INDOCHIN.

W MARCU 1948 TRAFIŁEM NA POWUDNIE - W SAJGONIE OTRZYMAŁEM PRZYDZIAŁ DO 13 POEBRYGADY LEGII CZUDZOZIEMSKIEJ (13 DBLE) I SKIEROWANO MNIE DO HOC MON, GDZIE STAŁ I BATALION PULKOWNIKA ROŚIEGO. TUTAJ OTRZYMAŁEM PRZYDZIAŁ DO 3 KOMPANII PORUCZNIKA LAFFONTA, Z KTÓRĄ ZNALAZŁEM SIĘ NA NAJDAŁEJ WYJUNIĘTYM NA POWUDNIE PUNKCIE NA MAPIE WJETNAMU - NA CYPLU CA MAU.



SAMOŁOT Z POCZTĄ PRZYLATYWAŁ RAZ W MIESIĄCU. NA SAMYM CYPLU WJETNAMU BYŁO NAS 92 ŻOŁNIERZY... OTOCZONYH VIET MINCHEM. POZNIEJ STALISMY NA POENOC OD SAJGONU, W PLANIE DE JONCS (DOLINA TRZCIN) - TO BYŁ MATECZNIK WROGA. TAM ZACZĘŁY SIĘ PATROLE, BRODZILIŚMY W BĄGNACH, CO NOC BYLIŚMY ATAKOWANI. WŚRÓD NAPASTNIKÓW BYŁO WIELU JAPONCZYKÓW, KTÓRZY ZOSTALI W WJETNAMIE PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ.



CHCIAŁO TĘ MNIE WYKREŚLIĆ ZE ZBOWID-U, CHOCIAŻ ZA WALKĘ W POWSTANIU MIAŁEM KRZYŻ WALECZNYCH.



W 1959 DOWIEDZIAŁEM SIĘ ŻE MOJA RODZINA PRZEŻYŁA WOJNĘ, I WRÓCIŁEM DO POLSKI. RODZINA ZAŁATWIŁA MI PRYWROCENIE OBYWATELSTWA. OZENIŁEM SIĘ, PO PEWNYM CZASIE DOTARŁO DO MNIE, ŻE TUTAJ SIĘ DZIEJE. ZAKAZANO MI OŚIEDLENIA W WARSZAWIE I ZNALAZŁEM SIĘ W OLSZTYNKU. DŁUGIE LATA MIAŁEM TELEFON NA PORZĘCZU, A W PRACY NIE BYŁO MOWY O AWANSIE. MOJ SZEF OKAZAŁ SIĘ BYŁYM UBEKIEM. PRZESYŁALI Z KWIĄTKAMI I ZACHODU BYŁY NISZCZONE. I TAK PRZECI WIELE LAT...

DARIUSZ S. RYGIEL 2025

2/2

KONIEC EPIZODU